



Jubileusz 60-lecia pracy artystycznej – w Teatrze Polskim

60 lat wierności jednej scenie

Gwiazda w epoce tworzyw sztucznych

Rozmowa z Niną Andrycz

wie anonimową, czyjaś tam żonę, ba, żonę, jak słusznie pisała prasa, nieudacznika, któremu się zdaje, że ma coś ludziom do powiedzenia, a przecież plecie nieprawdopodobne androny. I niesamowity upór tej kobiety, która go kocha i wierzy mimo wszystko, że coś z niego w końcu wytryśnie, coś się narodzi. To najbardziej wzruszało cudzoziemców. Najciekawszy komplement, jaki usłyszałam po *Krzestach*, zrobił mi pewien Francuz będący przejazdem w Warszawie – powiedział tak: *Pani gra coś zupełnie wyjątkowego: rumuńsko-francuskiego Czechowa*. Ta sztuka promieniuje ciepłem, wielką dobrocią i ogromną siłą kochania tej kobiety. Ona przecież zdaje sobie sprawę z tego, że on jest głupkiem. Ona mu nawet to wyrzuca, ale wyrzucając nie przestaje kochać.

WK – Uważa pani, że cudzoziemcy trafniej odczytali tę sztukę?

Andrycz – Polacy, jak już mówiłam, są sfrustrowani, a cudzoziemcy może jednak mniej, może dlatego, że są bardziej od nas syści, bardziej obkupieni, spokojniejsi pod tym względem. Nie muszą już tak wszystkiego zdobywać jak my w tej chwili. Cudzoziemców najbardziej w tej sztuce interesuje, że jest to poemat o samotności i o wielkiej miłości tej kobiety wbrew logice.

WK – Ta sztuka odniosła ogromny sukces w Chicago.

Andrycz – Mój dyrektor Jerzy Zalewski był świadkiem, jak parę pań ukłękło przede mną w garderobie. Ja się tym, broń Boże, nie chwaleb, ale to był ogromnie wzruszający moment, bo panie były w wieczorowych toaletach, a garderoba zakurzona, pełna zeschłych płatków od kwiatów, a one ukłękły w ten brudzik. Musiałam je podnosić, bardzo chciałam czymś poczęstować, a że miałam tylko miętowe wedlowskie cukierki od kaszlu, częstowałam tymi cukierkami.

Zapytałam, co je tak ogromnie wzruszyło w sztuce, która uchodzi przecież za szczytowe osiągnięcie teatru absurdu? Jaki tam absurd, odpo-

wiedziały. Przecież to sztuka o wielkiej miłości.

WK – Polska publiczność jest też pani wierna. Na 35 Spotkaniach Teatralnych w Rzeszowie dostała pani pierwszą, bardzo prestiżową nagrodę publiczności. Publiczność głosowała w listopadzie 1996 r. Wystarczy powiedzieć, że na panią głosowało około 400 osób, a na pani rywali 50 i 25 osób. Gratuluję.

Andrycz – To było naprawdę miłe, bo tego nie można zorganizować. Wie pani, jak jest jury i w nim siedzi żona kolegi, który mnie lubi, a ona nie, to wiadomo, że ja żadnej nagrody nie dostanę, nawet gdybym poruszyła widownię do łez. Jury może być niesprawiedliwe, ale kiedy głosują ludzie, którzy może widzą aktorkę z bliska po raz pierwszy, a w dodatku w smutnej sztuce, to to jest jakieś wydarzenie. Naprawdę bardzo się ucieszyłam, szczególnie że się tego absolutnie nie spodziewałam. Liczyłam tylko na kwiaty i jakiś bankietek... Byłam przekonana, że komedia nas pokona.

Krzesta nieoczekiwanie dały mi więcej satysfakcji artystycznej, niż się na początku spodziewałam.

WK – To z tymi widzami może nie jest tak dobrze, ale nie jest i tak źle?!

Andrycz – Nie tracę nadziei, że będzie lepiej, dlatego że, jak słusznie zauważył mój reżyser Maciej Prus, obecnie wykształca się pewna grupa nowych widzów. To nieraz są 18-, 19-latkowie, którzy interesują się teatrem, ponieważ mają już powyżej dziurek w nosie amerykańskich filmów z mordobiciem, wszelakim chamstwem i seksem już nie do wytrzymania. A nie mam nic przeciwko seksowi w zasadzie, tylko nie tak, jak to sobie Amerykanie wyobrażają.

Otóż te podrosłe dzieci chodzą teraz namiętnie do teatru i zdają nam relacje ze swoich wrażeń. Tak ostatnio było na *Krzestach*. Pewien młody człowiek czekał na nas po spektaklu. Mnie nie odważył się zaczepić na ulicy, ale zatrzymał mojego partnera

i zrobił mu wykład o tym, jak na niego podziałał ten spektakl.

WK – W swojej autobiograficznej powieści *My rozdwojeni* napisała pani o Szyfmanie, że potrafił walczyć o swój teatr i o publiczność, że jak ludzie nie przychodzili na Szekspirowskie sztuki, to on wystawiał farsę.

Andrycz – Nawet niekoniecznie farsę – zresztą to samo robił Paryż. Jeśli tam nie poszedł Racine czy Corneille, za mało było ludzi czy pieniędzy, to grało się *Tessę* w przeróbce Giraudoux. A u nas tę *Tessę* na przykład reżyserował Aleksander Węgierko i nasz spektakl był lepszy od paryskiego, bo tam był tylko cudowny Louis Jouvet i jego przyjaciółka Ozevag, czyli kompozytor i Tessa, reszta tylko podgrywała – a u nas wszyscy byli świetni. Woszczerowicz tak zagrał epizod, że po prostu brak słów. Ja bym teraz chciała zobaczyć wielkiego aktora grającego epizod z pełnym zadowoleniem i nie mającego żalu do dyrektora, że go marnuje. Zresztą moja rola w tej sztuce była też tekstowo mniejsza od roli, którą grała Elżbieta Barszczewska, ale to ja po tej sztuce dostałam propozycję zagrania Solange. W *Tessie* zobaczyła mnie pani Przybyłko-Potocka, w cywilu żona Szyfmana, i powiedziała, że chce tę dziewczynę do roli swej córki, tj. Solange. Dlatego daję radę młodym aktorom: Nie bać się małych ról, nie każdy zaczyna od wielkich.

WK – Jeśli dobrze zrozumiałam, teatr Szyfmana był teatrem prywatnym, a jednak istniał właśnie dzięki jego inwencji i różnorodnemu repertuarowi.

Andrycz – Tak. Oczywiście Szyfman też starał się o jakieś dotacje od ministerstwa, czasem te dotacje dostawał, czasem nie. Ale widzi pani, on kochał teatr nad życie.

WK – Czy wierzy pani, że dzisiaj mógłby powstać taki prywatny teatr?

Andrycz – Gdyby ktoś miał do tego głowę i serce takie jak Szyfman, to nie wykluczam, że mógłby zorganizować taki teatr. Państwowe molochy robią, co sami widzimy, spektakle, po których człowiekowi robi się niedobrze. Ale teatr artystyczny w dzisiejszych warunkach powinien zgromadzić najlepszych reżyserów i aktorów, a on ich zgromadzić nie potrafi.

WK – Czy już rozpoczęła pani próby do nowej sztuki?

Andrycz – Jeszcze nie. Wprawdzie teatr zaplanował sztukę najwyższej klasy, ale na razie ma trudności z obsadą poszczególnych ról. Anglosasi w swoich podręcznikach jednym tchem wymieniają wielkich poetów: Dantego, Szekspira, Miliona, Eliota. Mam zagrać w sztuce Eliota. Sztuka nazywa się *Cocktail-party*. Reżyseruje Maciej Prus. Gram Julię – to bardzo ciekawa postać. Tekstowo nie jest ona tak ogromna jak w *Krzestach*, ale nie w tym rzecz. Jest to rola bardzo ważna w sztuce. Dlaczego? Nie mogę powiedzieć i treści też nie zdradzę, bo przecież chcę, żeby ludzie tłumnie przyszli na spektakl.

WK – Jest pani osobą, która znakomicie zna teatr w Polsce, i będąc jego wielką gwiazdą może porównywać chwilę obecną ze znanym pani okresem wcześniejszym. Jakże w skrócie jest pani wrażenie?

Nina Andrycz – Mój niestety już nieżyjący przyjaciel i kolega szkolny prof. Aleksander Bardini parafrazując pewne znane chińskie przekleństwo: *Bodaj byś żył w ciekawych czasach*, mawiał: *Bodaj byś żył w epoce tworzyw sztucznych*. Otóż ja oglądając ostatnio niektóre inscenizacje naszych reżyserów mam ustawicznie w gardle okropny smak tworzyw sztucznych.

WK – Z czego się bierze ten smak?

Andrycz – Nie mam nic przeciwko temu, żeby ktoś eksperymentował na XX-wiecznej prozie Musila albo Blocha. Z tego mogą wyjść dość interesujące myślowo rzeczy. Właśnie jeśli już nie czysto teatralne, to myślowo. Natomiast hasać na polskiej poezji romantycznej, która jest w naszej literaturze jak dotąd najmocniejszym jej dziełem, to po prostu zbrodnia.

WK – Rozumiem, że była Pani na otwarciu Teatru Narodowego.

Andrycz – Tak. Kiedy widzę, jak poezję Mickiewicza, która wciąż jest żywa, bardzo mądra i piękna, ktoś sieka na kawałki bez ładu i składu, nie wiadomo dlaczego, to jest to popis tego, co ja nazywam biegunką reżyserkiej wyobraźni, i robi mi się po prostu niedobrze. A że siedziałam w trzecim rzędzie, nie mogłam po prostu wstać i wyjść. Obok sami dygnitarze. Nudzili się zresztą jak mopsy. Artyści też narzekali.

WK – Z czego wynikają takie eksperymenty?

Andrycz – Ano myślę, że z tego, że żyjemy my wszyscy, i ja, i pani, w epoce postępującej dehumanizacji kultury w ogóle. O tym pisał już w pierwszej połowie naszego zbrodniczego stulecia pewien Hiszpan o dźwięcznym nazwisku Jose Ortega y Gasset. On to bardzo błyskotliwie udowodnił jako teoretyk, a ja tylko od strony praktycznej do sprawy podchodzę. Jeśli nasz obywatel obecnie strasznie zagoniony w walce o byt, sfrustrowany, zmęczony, znajdzie jakąś wolną chwilę, to na ogół spędza ją przed kolorowym telewizorem bez względu na to, jaką miazgę, jaką magmę, jakie bzdury tam pokazują.

W ten sposób traci pomalą szlachetny zwyczaj ubrania się odświętnie i pod rękę z małżonką czy przyjaciółką pójścia wieczorową porą do teatru. Leży na kanapie i ogląda byle co. A znowu starsze panie, miłośniczki teatru, zwierzyły mi się, że boją się późno wracać, bo im chuligani wyrwywają torebki. Myślę, że tym się tłumaczy chwilowy odpływ frekwencji od wszystkich teatrów, od mojego też.

WK – Pani teatr to oczywiście Teatr Polski.

Andrycz – Tak, nazywam go moim i dlatego, że budował go mój wujaszek Czesław Przybylski ożeniony z Różą Andryczówną. Więc ja w Teatrze Polskim jestem po prostu u siebie. Niektórzy dziennikarze tego nie rozumieją i pytają mnie, jak można było tyle lat wytrwać w jednym miejscu.

WK – Niedawno na deskach tego teatru odbył się pani jubileusz.

Andrycz – I to niebagatelny. 60 lat wierności jednej scenie. Tak. Dzięki inwencji Macieja Prusa właśnie na tym przedstawieniu, a były to *Krzesta* Ionesco, zdecydowanie wyszłam z emploi, w którym publiczność mnie sobie upodobała. Grałam przecież imperatorowe, cesarzowe, królowe, heroiny i wielkie damy. Przeskoczyłam z tego i wcielić się w postać właści-

Nina Andrycz w *Krzestach* Eugène'a Ionesco – Teatr Kameralny

Fot. Stefan Okołowicz

Rozmawiała
Bożena Toeplitz